

Agnieszka Staniszevska

„POCIĄG DO CZEBINI O GODZINIE CZYNASTEJ”,  
CZYLI KRAKOWIANIE NIE GĘSI...

Czytelnikowi z Krakowa trudno będzie sobie pewnie wyobrazić, że dla rzesz Polaków słowo *weka* jest semantyczną enigmą – znaczy nie wiadomo co, nie kojarzy się z niczym, istna językowa tajemnica. Słowo-sfinks. Co różni *wekę* od zwykłej *bułki*? Różni ją kształt. *Weka* jest długa. Zatem jeśli mama wysyłała mnie do sklepu po zakupy, a sklep ten położony był w Białobrzegach, 70 km na południe od Warszawy, to prosiła, abym kupiła... *długą bułkę* (znaną też, choć niezbyt powszechnie, jako *bułka wrocławska*). Jeśli do sklepu w Białobrzegach zajrzał krakus, który zawiątał tu przejazdem (miasteczko leży na trasie Warszawa – Kraków), i poprosił o *wekę*, słowo okazywało się równie niedoskonałe, co niewystarczające i należało komunikację wzbogacić o komentarz i gest.

Gdy przyjechałam do Krakowa dwadzieścia lat temu z okładem i zamieszkałam w akademiku z mieszkankami Małopolski, wszystkie przeżywałyśmy chwile, w których należało sprowadzać słowa do wspólnego semantycznego mianownika, aby nadawca i odbiorca zrealizował skutecznie Jacobsonowski akt komunikacji. Gdy usłyszałam, że koleżance *potargały się rajtki*, błysnęłam wątpliwego poziomu dowcipem-radą, aby sobie je *uczesła* – wyczuwałam oczywiście, jako użytkownik wyposażony w kompetencję językową, sens wyrażenia, ale po raz pierwszy usłyszałam zwrot, w którym *potargać* sobie można było coś innego niż włosy (na marginesie, nigdy wcześniej nie nosiłam też *rajtek*, zawsze myślałam, że to *rajstopy*, ale po przyjeździe do stolicy Małopolski okazało się, że całe życie tkwiłam po prostu w błędzie). Z tego samego powodu przykuwało moją uwagę sformułowanie *ubrać buty* i *ubrać palto*, bowiem ja zawsze jedno i drugie *zakładałam* (teraz już schizofrenicznie raz ubieram, raz zakładam...).

Dziś wszyscy wiemy, że w Krakowie wychodzimy *na pole*, a w Warszawie *na dwór*, ale dwie dekady temu, gdy nie było internetu, komórek, maili i fejsa, czyli z Warszawy do Krakowa było o bezkresne lingwistycznie niebo dalej niż dziś. Trzeba było przyjechać do stolicy Małopolski, aby przekonać się, że pole to nie rolne zagony, które można co najwyżej orać i obsiać zbożem.

Dziś wszyscy wiemy również, że korki na drogach Warszawy tworzą się wtedy, gdy wyjedzie wiele *samochodów*, a te same korki w Krakowie tworzą

szeregi *aut*, ale kiedyś i to nie było tak powszechnie wiadome (alternatywa dla korków to *iść na nogach*, które w pierwszej chwili wydało mi się świadomym dowcipem ułożonym *ad hoc*, czymś na kształt „płakać oczami” albo „słuchać uszami”). Gdy z kolei na lektoracie języka hiszpańskiego lektorka opisywała nam w tym języku owoc, a my odgadywaliśmy jego nazwę, część grupy w małych, okrągłych, granatowych owocach, które zbieramy w lesie, dopatrzyła się *borówek*, a część ze zdumieniem orzekła, że przecież są to *jagody*. Gdyby Maria Konopnicka żyła współcześnie, na pewno na lektoracie języka hiszpańskiego byłaby w mojej grupie (na marginesie, południe Polski nie wytworzyło jednak odrębnej nazwy na drożdżówkę z borówkami, która zdradziecko jest jednak jagodzianką). Na tych samych studiach jedni studenci chodzili na *wu-ef* z akcentem na pierwszą sylabę, a część na *wu-ef* z akcentem na ostatnią sylabę. Sport nas jednoczył, lecz język intrygował. Także wtedy, gdy studentka nie pochodząca z Małopolski dostała polecenie, aby *turlikać* piłkę, którą aż do tego momentu w życiu zawsze *turlała*.

Kraków, jak każda metropolia, którą tworzą rzesze przyjezdnych, to językowy tygiel. Kwitł również, gdy po zajęciach wracaliśmy do akademika lub mieszkania. Niektórzy zakładali *kapcie*, inni *pantofle*, jeszcze inni *laczki* (dodajmy, że zwolennicy tworzenia rodzimych derywatów, które miały zastąpić obce słownictwo i tym samym wzmacniać polszczyznę, proponowali dawno temu termin *cichostępy*, ale nie odniósł on sukcesu i nie wszedł do uzusu). Już w tych kapiach *vel* pantoflach *vel* laczkach szło się ugotować parówki, a w tym celu należało postawić garnek albo *na kuchni*, albo *na kuchence*, albo też *na piecu*. Oczywiście nie musiały być to parówki, bo mógł to być przywieziony z rodzinnego domu *sznycel* lub *mielony*, w zależności od geograficznego położenia domu i pochodzenia gospodyni (zagadka na marginesie: jakie mięso kupujemy w Krakowie na sznycele?). Mielonego można było zjeść z *kartoflami*, a sznycla z *ziemniakami*. Zarówno parówki, jak i „sznyclo-mielonego” można było też zjeść z chlebem, w którym większość ceniła sobie najbardziej ten kawałek, który w każdym bochenku występuje jedynie dwa razy, ale w języku dużo więcej: *przyłepkę*, *skibkę*, *dupkę* lub *piętkę*. Wieczorem zaś można było iść do znajomych, którzy mają telewizor (wówczas rzadkość), aby *oglądnać* albo *obejrzeć* film, a gdy odbiornik był nastawiony zbyt cicho, jedni prosili, aby *wziąć głośniej*, inni aby *podgłośnić* (jedynie sąsiedzi byli jednogłośni, bo zgodnie prosili, aby przyciszyć). Gdy zbliżało się Boże Narodzenie ubieraliśmy *drzewko* albo *choinkę*. Na *przyniesionym* tudzież *przytarganym* z Kleparza małym świerku zawieszaliśmy *bombki* lub *bańki*. Gdy ja spieszyłam się na tramwaj (bo nie lubiłam się *spóźniać*, a nie *spaźniać*) i brakło mi dosłownie dziesięciu sekund, aby zdążyć, opowiadałam, że *prawie* zdążyłam i dalsza część dialogu szła jak po grudzie, bowiem koleżeństwo rozumiało, że co prawda niewiele brakło, ale jednak udało mi się wbiec do tramwaju w ostatnim momencie. Tym samym nie rozumiało więc, jakim cudem musiałam czekać na kolejny

tramwaj, skoro odjechałam tym poprzednim (w Krakowie *prawie* oznacza „w ostatniej chwili, ledwo ledwo”, podczas gdy u mnie „niewiele brakło, ale jednak brakło”). W pierwszej chwili nie rozumiałam też oczywiście, że *obrócić się do apteki* (gdy szliśmy z przystanku do akademika) to nie ustawić się w kierunku apteki twarzą, ale zająć do niej po drodze. Jako osoba, która znała wyłącznie słowa *łaskotać* i *łaskotki* nie miałam najmniejszej szansy zrozumieć zdania *nie gilgotaj mnie, bo mam cliwki* i jeśli zaniechałam zajęcia, to jedynie z językowego zdumienia. Podobnie jak nie miałam pojęcia, co mam podać koleżance, która przekrzykiwała płaczące dziecko, prosząc mnie abym przyniosła *cumla* (gdy tymczasem po *smoczka* ruszylibym od razu). Minęło trochę lat i okazało się, że moje dziecko również lingwistycznie zdradza rodzoną matkę, bo chce *cumla*, a na głowę naciąga *kapuzę*, a nie *kaptur*.

Sławą wielką cieszy się też krakowska partykuła wzmacniająca, którą słyszymy w formach *idźże*, *siądźże* czy *weźże*. Prawdziwego nakłaniania kogoś do jakiejś czynności bez owej partykuły w Krakowie nie da się przeprowadzić. Rzadsze, ale wyczuwalne dla ucha nieautochtona, jest też pytanie *na ile te truskawki?* Niewprawne ucho nie wyłapie natomiast regionalnej wymowy udźwięczniającej na granicy wyrazów. Południe Polski (jak też i Wielkopolska oraz część Śląska) to obszar, na którym wygłos wyrazu przed wyrazem zaczynającym się od samogłoski lub spółgłoski sonornej wymawiany jest zawsze dźwięcznie, podczas kiedy gdzie indziej pozostaje wymowa ubezdźwięczniająca. W efekcie pod Krakowem rośl będzie *laz iglasty*, a pod Warszawą *las iglasty*, w Krakowie kupimy *chleb orkiszowy* lub *chleb razowy*, a w Warszawie *chlepek orkiszowy* lub *chlepek razowy*, w Krakowie zaprzeczmy, mówiąc *ależ nie*, a w Warszawie zaoponujemy mówiąc *alesz nie*. Z tego samego powodu proszony przez żonę mąż o pomoc powie na południu *już idę*, w centralnej Polsce zaś *jusz idę* (łączy ich tylko to, że żaden najprawdopodobniej nigdzie długo jeszcze nie pójdzie i zostanie przed telewizorem, dopóki nie skończy się mecz), a gdy zechce z brawurową odwagą udzielić owej pomocy zdecydowanie zbyt późno wobec oczekiwania żony, dowie się odpowiednio, że pomoc *już nie* lub *jusz nie* jest potrzebna, i w subkodzie małżeńskim jedna i druga odpowiedź znaczy akurat to samo. Ta tendencja do udźwięczniania objawia się też wewnątrz wyrazu: powiemy *weźmy* lub *weśmy* i *idźmy* lub *ićmy* w zależności od naszego pochodzenia terytorialnego. Ucho mieszkańca Warszawy wyłapuje za to doskonale uproszczoną (wedle normy językowej błędną) krakowską wymowę typu *czeba*, *czydzieści* czy *dzewko*, *Andzej czy czasne sobie dżemke*. Liderem dwuznaczności w tej grupie okazuje się *szczała*, czyli... strzała. Gdybym dwadzieścia lat temu miała internet, pewnie po powrocie z dworca PKP szukałabym w necie miejscowości *Czebienia*, bo dworzec PKP znajdował się w Krakowie, *notabene* jedynym mieście w Polsce, które ma nie *bud-żet*, ale *budżet*.

Fakt, że w chwili pisania tego tekstu Word nie podkreśla mi wielu z przytoczonych tu regionalizmów, dowodzi, że nasza wzajemna wiedza

o leksykalnych i frazeologicznych rozbieżnościach polszczyzny różnych regionów jest dziś znacznie szersza. Rozbieżności te stanowią też wielką wartość: nie tylko językową, ale i społeczną, budują tożsamość i wspólnotę kulturową użytkowników, pozwalają utrzymać to, co w języku i – podkreślmy – kulturze bezapelacyjnie cenne: koloryt, wyrazistość, świadomość korzeni, nie tylko językowych. Skoro więc użytkownicy je lubią w swoim języku, to dobrze, bo zapewne warto (tudzież, aby użyć „słów, którymi mówią tubylcy” – *wartałoby*). Dzisiejsza polszczyzna absorbuje nowe jednostki w skali niespotykanej dotąd, w stopniu równie szybkim, w jakim przebiega wchłanianie nowych technologii. Jest to nierzadko powodem obaw o stan języka. Ilość obcych jednostek i struktur językowych rodzi obawy o utratę językowej tożsamości. Wydaje się, że w tym kontekście silna wciąż pozycja regionalnej leksyki jest wartościową przeciwwagą: turlikanie, pole, gilgotki i bańki może nie są lekiem na całe zło, ale na pewno budują na osi czasu szansę na to, że regionalny język użytkowników nie pozwoli mu wyjałowić się, odbarwić i odciąć od korzeni.